

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Jezus Nazareński, Król żydowski.

O drogi Jezu! z Twojego Imienia

Dusza jak pszczołka wyssała słodycze,
W Tobie znalazła echo na westchnienia,
Balsam na życia zatrute gorycze.

O słodkie imię! Tyś jest sternikowi

Kotwicą szczęścia na burzliwym morzu,
O słodkie Imię! Tyś jest pielgrzymowi
Gwiazdą nadziei na życia bezdrożu!

Jezu! gdy serce my oddali Tobie,

Niech światła miłość w niem umrze, zwię-
[dnieje

A jako lampa, co się błyszczy w grobie,

Niech w sercach naszych Twe Imię zatleje.

Bo Imię Jezus, jest to miecz dwusieczny,

A kto pochwyti miecz ten w swoje dłonie,
W najazdach nocnych ten będzie bezpieczny,
Strzała zatruta w piersi nie utonie.

Bo Imię Jezus jest to puklerz mocny,

A kto z nim walczy, ten niezwyciężony,
I z hańbą pierzchnie nieprzyjaciół nocny,
Świetnym puklerza blaskiem przerażony.

Bo Imię Jezus jest sztandar zwycięstwa,

Przed którym każdy podły wróg ucieka,
Więc wśród walk, trudów, nie tracić nam męstwa.
W wieczności wieniec dla zwycięzcy czeka.

Ks. Karol Antoniewicz.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

— Nie, nie, chcę panicz zdejmie buty, nie pozwolę tu wejść — rzekł stanowczo wieśniak — kto nie umie chodzić po rozmaitych urwiskach, łatwoby się mógł ześlizgnąć i użyć nieprzyjemnej kąpieli.

— Ano, to już nie pójdę za wami — rzekł Jasio, przekonany dowodzeniem wieśniaka. — Ale sobie przynajmniej nogi wymoczę w strumieniu, przecież to mogę zrobić, a wędkę przycępię do krzaka i zapuszczę w wodę, może się prędzej ryba złapie w ten sposób.

Mówiąc to, Jaś się rozsuł i nie chcąc płoszyć ryb, pobiegł nieco dalej.

— Jakże tu ładne ślimaki widać na brzegu — rzekł, pochylając się nad wodą.

Wtem silny powiew wiatru zerwał mu z głowy słomiany kapelusz i uniósł prosto na wodę.

— O! Boże! — zawołał Jaś z przestachem — mój kapelusz wpadł do wody!

I nie namyślając się, chciał wskoczyć do wody, aby ratować kapelusz. Lecz wieśniak, widząc jego ruch, zawołał z pośpiechem:

— Paniczu, nie można skakać do wody, mógłby panicz trafić na głębię i utonąć! Niech Bóg broni, aby panicz miał wejść w wodę!...

Jaś zatrzymał się i patrzył zmartwiony na kapelusz, który sobie płynął po wierzchu fal, kołysząc się lekko to na jedną, to na drugą stronę.

— Ach, mój Boże, co pan Kaliński na to powie! — powtarzał — będzie się gniewał na mnie, kapelusz kupiony niedawno...

Tymczasem kapelusz płynął coraz dalej i wreszcie znikł za odłamek skały.

Jaś ze zmartwienia zapomniał o rybach i chciał natychmiast wracać do domu.

— Niech się panicz nie martwi, może tam w pobliżu wsi jaki chłopak wylowi kapelusz — mówił wieśniak. — A ty biegaj do chałupy i przynieś jakikolwiek kapelusz, aby panicz głowy nie przepalił na słońcu — rzekł do swego chłopca.

Ten z pośpiechem spełnił to polecenie, i Jaś powrócił do domu z bardzo smutną miną. Wprawdzie kapelusz wydobyto z wody, ale nie na wiele się już przydał, bo zupełnie wyszedł z fasonu. Biedny chłopczyk z pokorą wysłuchiwał napomnienia pana Kalińskiego, bo wiedział, że na nie zasłużył.

— Mówiłem, że ty jesteś zawsze roztrzepany, — rzekł doń opiekun. — Gdzie tylko się obrócisz, nie obejdzie się bez szkody.

Nakoniec nadeszła odpowiedź od kapitana z Marsylii, w której tenże donosił, że przed upływem trzech tygodni nie ma nadziei pojechania do Tryestu.

„Jestem jeszcze bardzo osłabiony, pisał kapitan, tak, że z trudnością mogę myśleć o podróży morskiej, lekarz jednak pociesza mnie, że napewno w końcu tego miesiąca będę mógł powrócić do zwykłych zajęć.“

List ten nie bardzo ucieszył pana Kalińskiego, zwłoka nie zbyt była mu po myśli. Jakkolwiek chętnie posiedziałyby dłużej w górach, ale myśl o tem, że Kincel może w Berlinie poczynić jakie kroki, aby odebrać przynależne Drzewińskiemu pieniądze, nie dawała spokoju zacnemu opiekunowi Jasia.

— To niegodziwiec — mówił sobie w duchu — taki człowiek nie cofnie się przed niczem, gotów naśladować pismo Drzewińskiego, jeżeli zna jego charakter...

Ma się rozumieć, że swoich obaw i domysłów pan Kaliński nie wypowiadał przed Jasiem. Chłopczyk, dowiedziawszy się o przedłużonym pobycie w górach, ucieszył się z tego powodu niezmiernie i układał mnóstwo projektów nowych wycieczek i przyjemności.

— Proszę pana — mówił — jutro pójdziemy na te skały, ot, tam wysoko, gdzie to się wchodzi, jakby po schodach kamiennych, wykutych w skale. Nasz gospodarz mówił, że ztamtąd śliczny roztacza się widok.

— I owszem — odpowiedział z roztargnieniem pan Kaliński, zajęty swojemi kłopotliwemi myślami, byle tylko nie było zbyt wielkiego upału. Na taką daleką i nużącą wycieczkę należy wybrać dzień chłodniejszy, abyśmy się zanadto nie męczyli.

Jaś, zadowolony z zezwolenia opiekuna, zajął się przybraniem izdebki gałęziami świeżej jedliny, po którą zrana chodził z gospodarzem do lasu. Pan Kaliński powiedział kiedyś Jasiowi, że zapach żywicznych, iglastych drzew wpływa bardzo korzystnie na zdrowie; odtąd chłopczyk pilnował zawsze, aby gałęzie sośniny znajdowały się w pokoju sypialnym.

Pan Kaliński tymczasem zasiadł przy stoliku, stojącym przed domem, w celu napisania pilnych listów. Słońce schylało się ku zachodowi, gdy skończył swoje zajęcia. Właśnie zachodzące

słońce, jakby luną pożaru, oblewało pnie drzew i rozpalalo purpurowe światło w oknach chaty.

Bydło z rykiem wracało z pastwisk, ptastwo domowe kryło się do kurników, ptaki leśne milły, chowając się pomiędzy gałęzie drzew. Zwolna cisza, spokój i ciemność zalegały ziemię. Noc na skrzydłach swych niosła dla wszystkich odpoczynek i ukojenie. Wkrótce też i pan Kaliński z Jasiem zasnęli snem smacznym.

Jak długo spali, żaden z nich nie umiałby odpowiedzieć na to zapytanie, gdy raptem jakiś szczególny szmer zbudził pana Kalińskiego. Otworzył oczy i zaczął słuchać. W pobliżu chaty ktoś chodził, najwyraźniej słyhać było odgłos kroków i to nie jednej, ale nawet kilku osób, czego dowodziła jeszcze przytłumiona rozmowa.

— Coby to mogło być takiego? zapytał się w duchu.

Nie należał do ludzi trwożących się byle czem, jednak ta stłumiona rozmowa i stapanie ostrożne uczyniły na nim niemiłe wrażenie. Najpierw przyszedł mu na myśl złodzieje, lecz o nich nie słyszano w okolicy, potem pożar... Wstał więc z łóżka, aby wyjrzieć oknem i przekonać się o ile domysły jego były prawdopodobnymi. Okno nie posiadało okienicy, tylko zasłonięte było rolęką z grubego szarego płótna. Noc była tak ciemna, że nie a nie nie podobna było rozróżnić na dworze. Pan Kaliński cofnął się od okna, lecz w tej chwili usłyszał stukanie w szybę.

Ruch w pokoju i szmer nazewnątrz rozbudziły Jasia.

— Co to, co takiego? — zapytał nawpół jeszcze rozespany.

— Nie wiem, ktoś stuka do okna — odpowiedział pan Kaliński.

Jaś rozbudził się już prawie zupełnie, a zobaczwszy, że to jeszcze noc, zawołał z przestraszchem:

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Dzieci, Zuchelek i Wilczysko.

(Ciąg dalszy.)

— Żebyście się nie ważyły nawet przez okno

wyglądać! Głupie takie, może jeszcze które szybę wybić.

Dobrze wiedział Zuchelek, że jest mędrszy od tych dzieci; zaraz je brał pod swoją opiekę, zabawiał, pilnował, dopóki starzy Ogłonowie nie powrócili z miasteczka. Jeżeli przypadkiem Wilczysko znajdował się gdzieś blisko chaty, wtedy ples zasiadał na środku izby i zaczynał wyć w niebogłosy. Dzieci zaraz rozumiały, że się coś niedobrego święci, wlażyły w jakiś kąt i siedziały cichutko; tuląc się jedno do drugiego.

— Musi być źle, skoro Zuchelek wyje; onby przecie nie był bez potrzeby — tak sobie myślały dzieci.

Ogłonek i Ogłonka spędzali tak życie w boru: tam się oboje urodzili, a rzadko kiedy widywali ludzi. Aż tu jednego razu odzywa się Ogłonek do Ogłoniczy:

— Matko, słyszysz ty, trzebaby przecie kiedy pokazać dzieciom ludzi i kościół. Żyją tu w boru jak dzikusy: to niedobrze.

— Ja też to samo mówię — odrzekła Ogłonica. Niech się na świecie ociepli, a zabierzemy je ze sobą kiedy w niedzielę do kościoła.

Dzieci słyszały całą tę rozmowę rodziców i codziennie któreś z nich zapytywało matki:

— Matusiu, czy się jeszcze nie ocieplilo na świecie?

— Bogać się ocieplilo, kiedy oto rano był przymrozek, a po południu śnieg z deszczem padał!

Zrobiło się nareszcie ciepło. W boru gwiżdzały kosi, śpiewały zięby i inne ptaszki, zakwitły żółte dzbanuszki, modre fioletki i przylaszczki.

Dopiero matka w jedną sobotę po południu wykapała porządnie dzieci i powiada:

— Jutro pewnikiem będzie pogoda, to pojedziecie z nami do kościoła.

Istotnie, nazajutrz była prześliczna pogoda, słońko świeciło, aż miło, i powietrze było czystutkie. Ogłonica ubrała dzieci w paradne ubranie i Ogłonkowi zawiązała u kosciały pod szyją czerwoną wstążeczkę, a Ogłonce nałożyła trzy sznurki paciorków niebieskich, białych i różowych.

— Do kościoła trzeba się świątecznie ubrać! — powiada matka.

Tak wystrojone dzieci chodziły po izbie poważnie, jedno drugiemu się przyglądało, a bały się nawet dotykać swego ubrania, żeby przypadkiem czego nie pomic, albo nie splamić palcem. Ogłonek miał na nogach buciki z długimi cholewami, na głowie czapeczkę z pawiem piórkiem, a na białą kitle z czerwonymi wypustkami opasał

pasek, przy którym wisiał kozik na rzemyku. Ogłonka znowu obuła paradne trzewiczki, wdziała spódnice w prześliczne kwiatki i ponsowy gorsecik na bielutką koszulę, a we włosach miała dzwonki i fioletki leśne.

— Ogromnie ci licuje strój taki! — mówił brat, przypatrując się siostrze. — A powiedzże mi, czy ja też dobrze wyglądam?

— Nawet się o to nie pytaj! Lepiej wyglądać nie można.

Kiedy takie rzeczy zobaczył Zuchelek, zaczął zaraz skakać po izbie, merdać ogonem i z ogromnej radości czekał na dzieci.

— Biedny Zuchelek! — rzecze Ogłonka. — Nikt go też dzisiaj paradnie nie ubrał.

I zaraz wzięła jakiś czerwony skrawek, zawiązała go pieskowi na szyi. Czuć było tego dnia wielkie święto w chacie.

Teraz matka zamknęła drzwi na kłódkę i we czworo, a Zuchelek piąty, puścili się przez las ścieżkami ku wsi, do kościoła.

Zuchelek z ogromnym pośpiechem pobiegł naprzód, zatrzymywał się co chwilkę, obwachiwał ziemię, krzaki, czasem się czegoś niecierpliwił i wydrapywał nogami trawę z pod siebie, a ciągle się oglądał, czy aby za nim idą wszyscy, którzy wyszli z chaty.

Dzieci trzymały się za ręce, szły bardzo poważnie, rozmawiając o tem, że Zuchelek jest nadzwyczajnie dobry i miły piesek.

Za dziećmi powolnym krokiem zdążali rodzice: Ogłon podpierał się grubym kijem i kurzył fajkę; obok niego Ogłonicha w tureckiej chustce na głowie, w bielusińskim jak śnieg rańtuchu na ramionach, niosła grubą książkę do nabożeństwa, owiniętą w sznur paciorków różańca.

— Cobyś też ty zrobiła, żeby tak niespodzianie z krzaków wyskoczył tu do nas Wilczy-sko? — zapytuje siostrę Ogłonek.

— Uciekłabym zaraz do matusi i tatusia.

— Jabyś zaś nie uciekał — rzecze Ogłonek, tyłkobyś krzyknął na Zuchelka „zabij go!“ A jakby mu Zuchelek nie dał rady, tobym przebił Wilczyśko kozikiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ŁAMIGŁÓWKI,

I.

Ta — blin — dam — Ne — ran — sej — nis —
O — ter — wa — Ro — pe — ni — Ams —
ru — ny — lon — He — ni — A — je — Bu —
kla — Cay — Lu — Je — dus.

Z rozrzuconych głosek ułożyć wyrazy, których znaczenie jest następujące:

1. Rzeka wpadająca do oceanu Lodowatego.
2. Stolica Holandyi.
3. Rzeka wpadająca do morza Bałtyckiego.
4. Rzeczpospolita w Afryce.
5. Miasto w królestwie polskiem.
6. Przylądek azyatycki w Indyach.
7. Największa z wysp sporadzkich.
8. Góry w Europie.
9. Wyspa azyatycka.
10. Wulkan na Islandyi.
11. Kraj w północnej Afryce.

Początkowe litery tych wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko króla polskiego.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 7

I

Pie — kar — nia.

S

N i l

M i e c z

S z a n g a i

R z e s k u s k i

S i e n k i e w i c z

K a m i e n i e c

B o l w a r y

E g i p t

A c h

z

Dobre rozwiązanie II łamigłówki z nr. 7 „Anioła Stróża“ nadesłali: Jan Szulc z Poznania i Stefania Kikut z Staregotargu.

Dobre rozwiązanie II zagad. z nr. 6 nadesłała Franciszka Szramka ze Starej Kiszewy.